

Mój przyjaciel trup". Chciał Pan

zaszokować tym tytułem? Sprowokować? Trup to mocne słowo. Zmarły czy nieboszczyk, nawet umrzyk – to wciąż człowiek, chociaż nieżywy. A trup, zimny trup to właściwie rzecz.

Tak, trup, po prostu trup, bo życie nie pozostawia nam niczego więcej. Tylko nasza wyobraźnia, a właściwie wiara powoduje, że możemy oczekiwać czegoś więcej. I wciąż czekamy.

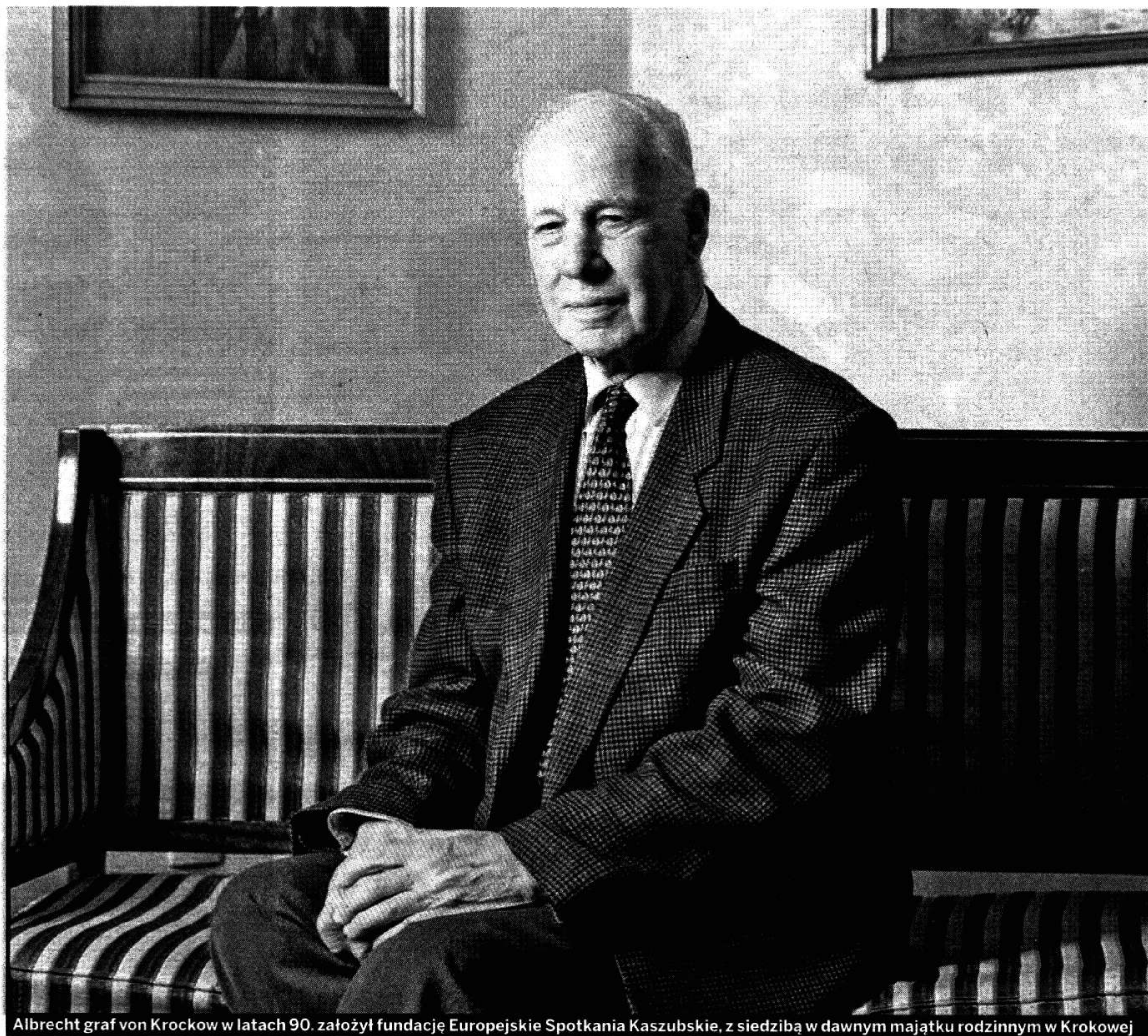
A trupowi wszystko jest obojętne? Czy dlatego musiał Pan dać słowo Albrechtowi grafowi von Krockow, bohaterowi pańskiej powieści, że opublikuje ją dopiero po jego śmierci? Może to ze względu na „trupa w szafie” lub – ściślej mówiąc – mundury w szafie najstarszego z braci von Krockow. Wiadomo było, że Reinhold, który w kampanii wrzesniowej walczył w polskiej armii, potem wstąpił do Wehrmachtu, ale że zgłosił się na ochotnika do SS Waffen, to coś nowego dla większości czytelników. No i sam Albrecht miał swoją tajemną szufladę, a w niej deklarację członkowską SA.

Patrząc z innego punktu widzenia – rodziny, to były aż trzy trupy – wszyscy bracia Albrechta zginęli na tej wojnie. Za co taka cena? Za ideologię? Nawet gdyby za wiarę, to i tak szkoda było tak pięknych chłopców. Urodę mieli filmowych amantów, co widać na zdjęciach, i podobać się musieli także polskim dziewczynom. Mieszkali tu, żyli, pracowali, polowali, bawili się. Aż tu nagle katastrofa. Przecież nie z ich winy. Dlatego tylko że byli Niemcami?

A gdyby byli Holendrami, którzy meliorowali całe Karwiańskie Błota, to byłoby nam lżej? Lepiej mówilibyśmy o nich?

W dalszym ciągu nie wiem, skąd ten warunek: czekać z publikacją do śmierci.

Właściwie obaj postawiliśmy sobie warunki. Albrecht – że wydam książkę po jego śmierci, ja – że tylko z prawdziwym nazwiskiem bohatera. Myślę, że zastrzeżenie Albrechta wynikało nie z obawy, że coś będzie nie tak, ale z wrodzonej skromności. Zgodził się na wyznania szczere, może wręcz intymne, które czynią go mężczyzną z krwi i kości, a nie figurą czy personą, jaką się stał za życia w oczach wielu. Nie chciał zapewne słuchać komentarzy ani się tłumaczyć ze swoich wyborów czy postaw z przeszłości. Poza tym – mimo mojego zastrzeżenia, że wszelkie analogie między pozostałymi postaciami powieści a osobami żyjącymi są niezamierzone – znaleźli się czytelnicy, którzy odnajdują siebie w tej opowieści, pod innymi nazwiskami. Powstają z tego tytułu dyskusje na temat faktów (jak



Albrecht graf von Krockow w latach 90. założył fundację Europejskie Spotkania Kaszubskie, z siedzibą w dawnym majątku rodzinnym w Krokowej

Ukochał swoją ziemię po grób

O trupach w szafie, odgrzewaniu starych konfliktów, obsesji Heimatu i o tym czy popegeerowska bieda potrzebuje pana – z **Krzysztofem Wójcickim**, autorem książki „Mój przyjaciel trup” – rozmawia **Dariusz Szreter**

to było naprawdę), emocji (czy mnie lubił bardziej czy mniej) itd. Tego, jak sądzę, mój bohater chciał uniknąć.

Ale Panu to się nie udało. Jak słyszałem, niektóre z osób, które się „odnalazły” w powieści, zapowiedziały podjęcie kroków prawnych. W istocie, autorowi i wydawnictwu grozi proces o naruszenie dóbr osobistych kilku osób z Krokowej i okolic, które poczuły się dotknięte czy zawiedzione ich wizerunkiem lub sposobem przedstawienia. Musimy jednak zdać sobie sprawę, że wkroczyliśmy w niezwykłą przestrzeń literackiej fikcji, która nie da się weryfikować przez zestawienie z rzeczywistością zewnętrzną, kieruje się własną logiką i ma autonomiczne uzasadnienia. Jedną z kontrowersji już narosła wobec postaci dyrektora PGR i jego sekretar-

ki. Państwo byli uprzejmi latem 1984 roku wyrzucić hrabiego z zamku, gdzie właśnie znajdowała się dyrekcja, i zadzwonili po Milicję Obywatelską, która natychmiast aresztowała niechcianego gościa z Niemiec. Niezadowolony byłby dyrekcji PGR, zainstalowanej na zamku w Krokowej, nie ma żadnego uzasadnienia ani w odniesieniu do faktów sprzed 25 lat, ani do fikcji literackiej kreowanej przez opowieści Albrechta. Zresztą graf po pewnym czasie zaprosił dyrektora PGR do Trewiru, gdzie mieszkał po ucieczce, traktował go jak najlepszego gościa. Przy winie i brydzu panowie darowali sobie dawne urazy sprzed ćwierć wieku. Teraz, gdy hrabia na wieki zamknął oczy, a ukazała się o nim książka, odgrzewa się dawne konflikty jak starą dzi- czynę. Milicjant, który został uwolnieniu Albrechta

z aresztu, zęgnął gościa długim salutem, goszczony był wielokrotnie na różnych rodzinnych uroczystościach na zamku. Awansował, służył do dziś w policji. W powieści jako Lucjan Kajdan (nazwisko oczywiście zmienione) pomaga nam odnaleźć skradziony w Krokowej samochód. Ktoś inny protestuje, że jak wtedy (lato 1984) usiłował wsiąść na rower, to nie był aż tak bardo pijany, żeby gubił i czapkę, i buty jednocześnie, itd., itp.

A krewni Albrechta? Jak przełknęli główny koncept powieści? Wszak wiezieniu trupa na przednim siedzeniu samochodu przez całe Niemcy i pół Polski, i w dodatku konwersowanie z nim w tym czasie, a nawet pilnowanie by się samowolnie nie ulotnił na postoj, to dość śmiały, a może nawet z lekką obra- zoburczy zabieg.

Tak, zgoda. Wręcz absurdalny, ale zależało mi na takiej metaforze. Albrecht tak bardzo pragnął być pochowany w krokowskiej ziemi, tak wiele razy o tym wspominał, sam wskazywał miejsce w kościelnej krypcie, gdzie prochy jego przodków spoczywają od XVI wieku. Albo na cmentarzu. Było mu to obojętne – byle w Krokowej. Gdy dotarła do mnie wiadomość o niemożliwości spełnienia jego ostatniej woli, postanowiłem pochować go sam. Zabieram ciało nieżywego Albrechta z Niemiec, wiozę je do Polski, rozmawiamy całą drogę, jak to wiele razy bywało, dojeżdżam do Krokowej, a tam się okazuje, że są jakieś przeszkody bliżej nieokreślonej natury. Gmina jest za, kościół jest za, starostwo jest za i województwo jest za. Ktoś jest jednak przeciw. I ten ktoś pojawia się w Krokowej, jest tu nawet

dobrze znany, ale tak miesza, kręci, mota i szachruje, że do pogrzebu nie dochodzi. Rodzina, widząc, że są jednak przeszkody, niechęci i komplikacje, rezygnuje. I ja raz jeszcze wiozę Albrechta, tym razem drogą, którą 65 lat temu przemierzał jego ojciec, Doering von Krockow, wracając według tekstu zachowanej przepustki „na dawne miejsce zamieszkania”, gdzie go nie było – dodajmy – od 700 lat. Rodzina von Krockow przez pewien czas oswajała się z tym literackim pomysłem i ostatecznie przyjęła go bez zastrzeżeń.

Powrót rodziny von Krockow do Krokowej budził tyle kontrowersji chyba nie tylko ze względów narodowościowych, ale też klasowych. Wydaje się, że Albrecht, nawet wydziedziczony, pozostał panem, i to było dla niektórych trudne do zaakceptowania.

Może warto przytoczyć opinię pana Stefana Míngi z Krokowej, sąsiada i szkolnego kolegi Albrechta: „Oni się nigdy nie wynaszały”, to znaczy nie dawali odczuć swego arystokratycznego pochodzenia. Żyli skromnie. Pamiętali o wsi. W Krokowej – mówię teraz o latach 90. – Albrechta wszyscy nazywali Dziadkiem. Dla większości powojennych mieszkańców po prostu był stary, chodził o lasce. Ale był także bardzo serdeczny, opiekuńczy, nawet hojny – właśnie jak dziadek. Szczęśliwi się nim: „o, to idzie nasz Dziadek”, „nasz Dziadek wraca z kościoła” (jako ewangelik uczestniczył w katolickich nabożeństwach i nie przeszkadzało mu to), pozdrawiano go z daleka, przystawano na rozmowy.

Może zatem – jakkolwiek niepoprawnie by to zabrzmiało – polska popegeerowska bieda, niepotrafiąca sobie znaleźć miejsca w nowej rzeczywistości, potrzebowała takiego pana i opiekuna? Taka myśl pojawiła się zresztą w opowieściach grafa dotyczących jeszcze lat 20. ubiegłego wieku, kiedy rozparcelowano część majątku i rozdano małorolnym.

Kiedy małorolni po powojennej [chodzi o I wojnę światową – red.] parcelacji stanęli na własnej ziemi, nadanej im przez młode państwo polskie, rzeczywiście nie wiedzieli, co mają robić. Nie mieli zresztą ani narzędzi, ani siły pociągowej, więc mimo „własności” i „własności” wciąż się do grafa zwracali z pytaniem „to co my teraz mamy robić, panie hrabio?”. A pan hrabia rozwiązał problem. Część dni odrabiali u niego, jak dawniej na majątku, a w pozostałe pracowali na swoim pługami i końmi hrabiego, w jego tartaku cięli własne drzewo, z którego budowali własne domy. Pamiętam również opinię hrabiego Albrechta: „Biedniejszy zawsze zyska przy bogatszym. Dlatego Polacy powinni wykorzystać nowe możliwości, jakie stwarza niemieckie sąsiedztwo. Tu też będzie dobrobyt.

Bo takie jest prawo ekonomii." Popegeerowska bieda bezwzględnie potrzebowała nowego zarządcy, właśnie wtedy kiedy się ponownie pojawił w Krokowej, ale był to rok 1984 i takie transformacje nie były w ogóle możliwe. Takiego zarządcy potrzebowała Krokowa już w 1945 roku. Sami mieszkańcy wybrali na to stanowisko (doradca ds. ekonomicznych i rolniczych) ojca Albrechta – starego Doeringa von Krockow, z którym radziecka władza obeszła się wyjątkowo łagodnie. Postanowił więc zostać. Trafił do pierwszej Rady Gminy Krokowa. Niestety, tylko na dwa miesiące. Po tym czasie pisma nadsyłane z Warszawy przegoniły starego grafę z Krokowej raz na zawsze. Nigdy już tu nie powrócił.

Siedem wieków obecności rodu von Krockow na północnych Kaszubach, w różnych organizmach państwowych, pod panowaniem różnych władców, budzi respekt, ale też rodzi pytania o cenę tego trwania. Kompromis, konformizm?

Kompromis, konformizm... pewnie tak, a nawet stawianie po stronie silniejszego, co nie znaczy, że przeciw słabszemu. Nam chyba trudno to zrozumieć, bo naszą świadomość kształtuje głównie wiek XX, w którym można było przepędzić miliony ludzi z miejsca na miejsce i organizować im życie według przyjętej ideologii. Wcześniej musiało być jednak inaczej. Człowiek musiał mieć swoje miejsce. Ono określało jego status, społeczny charakter, wartość, nadawało wymiar etyczny. Dziś paszport w każdej kieszeni i łatwość poruszania się po świecie pozwalają na pełną dowolność w wyborze miejsca życia. Emigracja (polityczna, ekonomiczna) stała się bezdyskusyjnym prawem. Jednocześnie spadła wartość życia. Dziś mówimy raczej o jego cenie niż o wartości. Więc cena życia się zmienia wraz ze zmianą przestrzeni. Wartość związana jest z trwaniem w jednym miejscu.

Czy to zakorzenienie w Heimacie nie staje się dla Albrechta wartością samą w sobie, absolutem, a może

po prostu obsesją, której podporządkowane jest wszystko inne? Myśląc o grafie, odnoszę chwilami wrażenie, że jego człowieczeństwo było w pewien sposób ograniczone, niepełne, bez tego zamku, ziemi, drzew, grobów. Czy człowiek powinien aż tak się wiązać z miejscem?

Powrót Albrechta do Krokowej był tylko symboliczny. Przecież jemu nie chodziło o zwrot majątku. To on pragnął być zwrócony tej ziemi

Nie sądzę, by utrata majątku mogła ograniczyć człowieczeństwo Albrechta. Raczej pozbawiła go tożsamości, zabrała na długie lata poczucie sensu. Ale mimo to poradził przecież sobie. W nowych warunkach potrafił stworzyć rodzinę, zdobyć stanowisko. Zaczynał od pracy w oborze i chlewie, poszukując dla trzody resztek poży-

wienia żołnierzy z francuskiej i amerykańskiej strefy okupacyjnej, wygrał wybory do rady powiatu, został wicestarostą, cieszył się uznaniem i szacunkiem. Przystosował się. Jego „zakorzenienie” w Heimacie mogło się objawić ponownie, ponieważ w czasie wojny nie splamił honoru, nie zhańbił dobrego imienia. Inaczej

o żadnym powrocie nie mogłoby być mowy. Wrócił tu, bo miał czyste ręce i mógł każdemu spojrzeć prosto w oczy. A iluż potomków pomorskich rodów nie mogło takiego powrotu doświadczyć? Zresztą ten powrót Albrechta był tylko symboliczny. Przecież jemu nie chodziło o zwrot majątku. To on pragnął być zwrócony tej ziemi. Z miłości do niej.

Czytając pańską książkę, zorientowałem się w pewnej chwili, że to świetny materiał na scenariusz filmowy. Co więcej, powziłem podejrzenie, graniczące z pewnością, że autor od początku zdawał sobie z tego sprawę i specjalnie prowadził akcję w filmowy sposób. Zgadłem? Mnie ta historia od samego początku wydawała się baśniowa, no bo i zamek, i tajemniczy park z fosą, i wiekowy kościół z kryptami w podziemiach, poblizko morza... Początki historii rodu von Krockow toną w legendarnych mrokach rycerskiego średniowiecza, a trwa ona nieprzerwanie aż do naszych czasów. Oczywiście baśń się kończy, gdy zaczyna się druga wojna, ale ten właśnie tragiczny czas niejako sam się fabularyzuje. Zwłaszcza że dwaj bracia Albrechta i jego szwagierka przeżywają identyczne uwięzienia emocjonalne jak te opisane przez Żeromskiego w „Wietrze od morza” 20 lat wcześniej. Dwóch braci kocha tę samą kobietę. Obaj bracia w ciągu kilku miesięcy giną, jeden po drugim, na froncie.

Ona zostaje sama z dwójką maleńkich dzieci. Motyw filmu w filmie byłby tym bardziej ciekawy, że można by wykorzystać autentyczne zdjęcia filmowe z roku 1930, kiedy to Kazimierz Czyński z najlepszymi polskimi aktorami (Malicka, Bodo, Brodzisz, Dymśa) realizował właśnie na zamku w Krokowej „Wiatr od morza”. Obraz ten, uważany przez lata za zaginiony, udało się jakiś czas temu odnaleźć. Niestety, tylko taśmę, bez płyt z muzyką i dialogami. Ale to w zupełności wystarczy. Widzimy zamek z dziedzińcem i komnatami, stary park i fosę, całą załogę zamku, służbę i mieszkańców, a także konie, bryczki, powozy. Akcję powieści starałem się tak właśnie poprowadzić, by miała ona strukturę scenariusza. No bo tak naprawdę cały bieg zdarzeń tworzących fabułę rozpiętą na tych 350 stronach da się sprowadzić do kilkuminutowej kontemplacji narratora, stojącego nad ciałem bohatera i pytającego: umarł czy nie? A jeśli nawet umarł, to przecież nie wszystkim.

Dobry Niemiec z Atlantydy

Chodzimy po tej ziemi, nie wiedząc, co mamy pod stopami – pisze **Jarosław Zalesiński** o książce „Mój przyjaciel trup”

Mój przyjaciel trup”. Tytuł pamiętnika nekrofila? Czy tani chwyt, w stylu Kuby Wojewódzkiego, bulwersowanie, po to by zwrócić na siebie uwagę? Ani jedno, ani drugie. Każde słowo tytułu powieści Krzysztofa Wójcickiego ma swoje uzasadnienie.

Wójcicki ma podstawy, by o Albrechcie von Krockow powiedzieć „mój”. Z książki na książkę, dokumentujących historię rodu von Krockow, stał się on rodzajem regionalnego eksperta od siedmiusetletnich dziejów tej rodziny. Słowo trup ma uzasadnienie w ekscentrycznym pomysle na fabułę. Wójcicki, czy właściwie Wójcicka, bo tak stale jest w książce nazywany, podejmuje się w książce osobliwej misji przemycenia z Niemiec do Polski doczesnych szczątków hrabiego Albrechta, po to by pochować go w rodzinnej krokowskiej ziemi. Pomysł sam w sobie śmiały, a swoboda, z jaką Herr Wójcicki poczyna sobie z grafowskim ciałem, czasem naprawdę aż zatyka. Trzeba było dużej odwagi, by tak traktować nieboszczyka – golić jego policzki, opatulać, opiekować się na każdym kroku, spełniać wszystkie jego, czasem kapryśne, życzenia. Bo Albrecht von Krockow wiedzie w książce Wójcickiego swoiste życie po życiu; co jakiś czas zapada w letarg śmierci, po kilku dniach zaczyna go być nawet czuć, ale poza tym jest niebywale żywotny. Poza leżeniem na katafalku także spa-



Albrecht von Krockow z synami, wczesne lata 50. XX w.

ceruje, jeździ konno, a nawet biega nago po parku i na koniec łączy się z umiłowaną krokowską ziemią w miłosnym akcie... Ta makabreska mogłaby się rzeczywistość zeslizgnąć w klimat z programów Kuby Wojewódzkiego gdyby nie trzecie tytułowe słowo. Tak, cały ten wariacki pomysł z przewożeniem trupa w tę i w tę przez granicę oparty jest na prawdziwej i głębokiej przyjaźni, którą się wyraża w tej książce na każdej stronie. Tylko przyjaciel mógł sobie pozwolić na tak daleko idącą swobodę w traktowaniu ciała kogoś bliskiego. Nie wiem co prawda, co o tym będą myśleć synowie Albrechta von Krockow, gdy przeczytają książkę. Ja jestem pod wrażeniem.

Ostatecznie jednak „Mój przyjaciel trup” nie jest powieścią traktującą o przyjaźni Albrechta von Krockow i Krzysztofa Wójcickiego. Najważniejsza jest tu historia, miniona i obecna. W swojej powieści Wójcicki postanowił

zamknąć całą swoją wiedzę o dziejach von Krockowów. Jako powieść „Mój przyjaciel trup” na tym cierpi, bo jest ponad miarę obciążona balastem powtarzających się opowieści o czynach i wybrkach kolejnych von Krockowów czy Krokowskich (zależnie od niemieckiego bądź polskiego rozdziału historii rodu). Jako dokument jest nie do przecenienia. W miarę tego jak słuchamy niekończących się wspomnień hrabiego Albrechta, przed naszymi oczyma zaczyna się wyłaniać prawdziwa Atlantyda, zatopiona przez historię XX wieku kraina Prus Zachodnich, z jej wspaniałymi zamkami i rezydencjami, polowaniami, wystawami i kamerdynerami i guwernantkami, przejazdami konno i... bez końca można by tak wylizywać. Podobny świat magnackiego Śląska próbował kiedyś w swoim filmie „Maginat” przedstawić Filip Bajon. Prusy Wschodnie przypominała głódna niegdyś wystawa, zatytu-

lowana właśnie „Atlantyda Północny”. Atlantyda Prus Zachodnich pozostaje, takie mam wrażenie po lekturze książki Wójcickiego, rzeczywistością praktycznie nam nieznaną. A fascynującą. Chodzimy po tej ziemi, nie wiedząc, co mamy pod stopami.

Życie na tej Atlantydzie polegało na stałym ścieraniu się germańskiego i słowiańskiego żywiołu. Raz jeden był górą, raz drugi. Fenomen trwania von Krockowów przez siedem stuleci polegał na ich umiejętności łączyć się zawsze z silniejszymi. Wygląda to na czysty koniunkturalizm, ale oparte jest na różnicy, jak nam tłumaczy graf von Krockow, między Vaterlandem a Heimatem. Słowo Heimat, nieprzetłumaczalne na polski, oznacza związek z ziemią, pejzażem i ludźmi najbliższego otoczenia. Heimat to krąg ziemi, widoczny po horyzont z wież krokowskiego zamku. Nie jest to tym samym co wspólnota naro-

dowa, co dobrze by tłumaczyło trudności, jakie von Krockowowie mieli z wpassowaniem się w rzeczywistość niemieckich Niemiec.

Jakoś się przecież jednak, zgodnie ze swym programem łączenia z silniejszym, w tę rzeczywistość wpassowali. Na koniec swego życia hrabia von Krockow decyduje się wyznać Herr Wójcickiemu rodzinne sekrety, które wcześniej zatrzymywał dla siebie. Że on sam podpisał deklarację członkowską SA, że jego brat Reinhold poza dwoma mundurami, oficera Wojska Polskiego i Wehrmachtu, trzymał w szafie także mundur SS i asystował w wysiedlaniu Polaków, którzy nie podpisali Volkslisty. A zarazem jego ojciec został brutalnie pobity na gestapo, gdy się zaczął dopytywać, jakim prawem w Piaśnicy zaczęto urządzać jakiś obóz, a on sam, Albrecht, z więzienia wykupował Polaków, do 1939 roku służących na dworze.

Jaki jest bilans rodu von Krockow z lat 30. i 40. ubiegłego wieku? „I tak znaleźliśmy się wśród innych przyzwoitych Niemców, oszukanych przez Hitlera” – wspomina graf Albrecht moment, gdy w 1945 roku udało mu się uciec wraz z żoną do anglosaskiej strefy okupacyjnej. Mit przyzwoitych Niemców, oszukanych przez Hitlera, był w samych Niemczech w przeszłości na różne sposoby podważany, ale w ostatnich latach ponoć odżywa. Krzysztof Wójcicki, jako autor „Mojego przyjaciela trupa”, wydaje się być pod wrażeniem nie tylko nietuzinkowej osobowości

graфа Albrechta, ale i tego mitu. Choć nie jest to takie jednoznaczne. Herr Wójcicki ma w pamięci i hasło „Drang nach Osten”, i pruski militarizm, potrafi też usłyszeć w głosach swych niemieckich przyjaciół niedwuznaczne sugestie, że zjednoczona Europa znów umożliwi Niemcom podbój Pomorza Zachodniego, tyle że dzięki sile ekonomii. Słucha tego wszystkiego, rozważa, ale postać jego przyjaciela, grafa Albrechta, wydaje się dla niego rękojmią, że w postawach Niemców, po wstrząsie przegranej wojny i wysiedleń, zaszła zmiana dająca szansę na to, by polsko-niemieckie sąsiedztwo po 700 latach zawirowań ułożyło się w jakiś harmonijny wzór.

Czy taka zmiana zaszła też po polskiej stronie? Doczytajcie państwo do końca blisko czterystustronicową powieść Wójcickiego, a przekonacie się sami. Nadmiar genealogicznych detali może zmęczyć, zdania w stylu „Na przystojnej twarzy hrabiego malował się smutek” trącą literaturą klasy B, ale mimo to grozi wam, że ulegniecie fascynacji osobą Albrechta von Krockow i jego opowieścią o pomorskiej Atlantydzie.

Promocja książki Krzysztofa Wójcickiego „Mój przyjaciel trup” odbędzie się dziś o godz. 18.30 w Sali Mieszczkańskiej Ratusza Staromiejskiego w Gdańsku, ul. Korzenna 33/35. W spotkaniu wezmą udział syn Albrechta grafa von Krockow, Ulrich, oraz Gertruda Waga, ostatnia pokojówka na zamku w Krokowej.